

Józef Kościelski

Co mi Tatry dały?

Józef Kościelski.

Co mi Tatry dały.

Praeludya · Sonety.

Okładkę i rysunki wykonał Prof. L. Wyczółkowski
Ozdoby i układ książki Jan Bukowski

Kraków 1905. Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego
pod zarządem Józefa Filipowskiego.

Jan Kasprowicz

Wł. St. Reymont

pamiątkę wspólnych
wrażeń przyjąć zechcą.

Praeludya.

Idę mą drogą, nie pytając wcale
Co tłum bezmyślny o mych krokach szepce:
Wodę, co ujścia szuka sobie w skale
I człek spragniony pije, i pies chłepce;
Dla wody jest to rzeczą obojętną,
Jej celem — płynąć, dumą — nie być mętną.



Nastroje.

Śpiewały mi drzewa,
Śpiewały mi wiatry,
Dziś serce wylewa,
Co mi dały Tatry.

W duszy natłok myśli,
W pieśni plon tak mały:
Nikt się nie domyśli
Co mi Tatry dały!

Czem dźwięczą kamienie
We mnie tylko dźwięczy;
Ręczę za wrażenie,
Któż za pieśń zaręczy?

Losy to najkrwawsze,
Dola nazbyt sroga,
Że pieśń ludzka zawsze
Jest parodyą Boga.

Cisza wokoło, z łona ciszy
Wszechpotęga wyziera:
Człowiek natury oddech słyszy,
A swój własny zapiera.

* * * * * * *

O góralu, twoje góry
Nie są wrażeń ci probierce,
Bo ty, dziecię gór, z natury
Nosisz w łonie górne serce.

Do tych czarów tyś z pokoleń
Przywykł latem, zimą, wiosną,
Ale biedne serca z dolin
Wciąż tu rosną, rosną, rosną!

W górę wiedzie perć
Na niej czyha śmierć:
Nie lękaj się, dziecię Boże,
Śmierć cię zegnie — lecz nie zmoże;
Percią w górę dąż,
Pieśni z życiem wiąż!

Cóż, że zginiesz ty?
Schną po wszystkich łzy;
Lecz te pieśni, coś z przyrody
Wysnuł w święte natchnień gody,
Te żyć będą wciąż...
Percią w górę dąż!

Pod słońcem ton
W pieśń się rozdzwania
Na życia plon,
Na sen kochania.
Co pragnie żyć,
Czy pełza, lata
Jak przędzy nić
Swą pieśń zaplata
Na spięty łuk
Ze strun szkarłatu:
Tak życie Bóg
Wydzwania światu!

Na szczycie gór
W wieczornej ciszy
Milczenia chór
Harmonią dyszy.
W milczenia czar
Zaklęte głosy
Nakształt się mar
Szklą w kroplach rosy;
Umilka ptak
I cichną drzewa...
Gdy milczy tak
Bóg siebie śpiewa!

Z górami myśmy nie braćmi:
Choć mają łona kamienne
Lada obłocze je zaćmi,
Barwy im nada odmienne.

Człowiek, zawodów gdy chmury
Zasępią ducha swobodę
Umie udawać lazury
I okiem — kłamać pogodę.

Świat jeden śpiew:
Pieśń w przestrzeń zwita;
Jak nić ją krzew
Na liście mota;
Z zieleni nut
Ptak śpiew swój czyta,
A z tego cud,
Pieśń ludzka złota!

W górach, na błoni
Wszędzie nas goni
Jedna tęsknota:
Nie barwną tęczą,
Siecią pajęczą
Życie nas mota!

Nierówno losy
Słały pokosy
W świata ogromach,
Przyrodzie dały,
Co nam zajrzały:
Stałość po gromach!

Nabożeństwo niespożycie
Z góry na dół płynie:
„Sursum corda“ brzmi na szczycie
„Amen“ gdzieś w dolinie.

Gdy zmudne piargi
Stopa przemierza
Idę bez skargi,
Nutą pacierza
Dźwięczą mi wargi
A w sercu świeża
Bije otucha:
Bóg w górach słucha!

Dwie góry się miłowały,
Miłowały,
Choć od siebie zdala stały,
Zdala stały.
Chociaż w twardy granit wrosły,
Granit wrosły,
Zamieniały ciągle posły,
Ciągle posły.
Czy to jasny słońca promień,
Słońca promień,
Zakład wspólnych uświadomień,
Uświadomień,
Czy tęczowych blask opalów,
Blask opalów,
Jako łącznik wspólnych żalów,
Wspólnych żalów;
Gdy nie mogą uściśnieniem,
Uściśnieniem,
To się wspólnym łączą cieniem,
Łączą cieniem...
Choć nie pójdą jedną grzędą,
Jedną grzędą,
Wiecznie się miłować będą,
Wiecznie będą!

Księżyc z chmur, jak niedźwiedź z kniei
Wyszedł czynić samołówki
Na gwiazd roje, złote mrówki,
Co w dal płyną po kolei.

Którą schwyci to pochłonie,
Tak jak niedźwiedź smakosz właśnie:
Tłustem licem smacznie mlaśnie,
I w chmur mateczniku tonie.

Gwiazdy w sieci zdradnych knowań
Płyną, jako sny człowiecze:
Ten się wyśni, tego zwlecze
Los w urwiska rozczarowań.

Więc o tajnej gwiazd podróży
Serce ludzkie śni boleśnie:
Która dojdzie, która zcześnie —
Z księgi własnych wspomnień wróży.

Nieszczęśliwy ja kamień,
Nie znam snów, ni omamień,
Ni roskoszy pragnienia,
Nic mię nigdy nie zmienia.

Mrą rośliny i ptaki,
Jam jest zawsze jednaki;
Smutno pustemu łonu
Bez boleści, bez zgonu!

Rąbiesz drzewo na opał:
Hej góralu, góralu,
Nie miej do losu żalu,
Że ci biedę wykopał.

Wszystkich ogrzeją drzewa,
Bo zwykłe to koleje:
Ten się paląc je — grzeje,
Tamten rąbiąc — rozgrzewa.

Wyżyn stokrotka
Z granitów wieńca,
Zimna szarotka,
Kwiat bez rumieńca.

Wyrwana z głazu
W grozie i strachu,
Kwiat bez wyrazu,
Kwiat bez zapachu.

Tyle w dolinie
Kwiatów i rojeń:
Cennym jedynie
Kwiat bez upojeń.

Stoi chata pośród drzew, milcząca,
Osłonięta od słót i gorąca.
Tak od świata ukryła się z cicha,
Tylko wonią lipową oddycha,
I wśród swoich chruścianych opłotów
Nie zna licznych, zewnętrznych łoskotów,
Nic, co ludzi uzbraja na ludzi,
Ech uśpionych jej ścian nie obudzi,
Nic nie wniknie w jej koło czarowne,
Tylko pieśni ptaszęce wymowne,
Tylko nieco konarów zieleni,
A od słońca li tyle promieni,
Ile między liściami się zmieści,
Zresztą nic... nic... nic... nic... krom boleści!

Piosenka ta,
Co w piersi gra,
I w dal po rosie dźwięczy,
Zrodziła się
W bolesnym śnie
I wykąpała w tęczy,
I płynie w dal na skrzydłach zórz
Od sinych gór — do sinych mórz.

Ta serca cieśń,
Zkąd poszła pieśń
To przestrzeń taka mała,
A strof jej splot,
Gdy wzięła lot
W tysiącu piersi pała,
I koi ślad serdecznych burz
Od sinych gór — do sinych mórz.

Ból — zwykły los
Pieśń — pusty głos,
Gdy spoją się w ogniwa,
To bólu jęk
Ujęty w dźwięk
Lekarzem bólu bywa:
Łzę goi pieśń z łez pełnych kruż
Od sinych gór — do sinych mórz.

Słońce, żegnając Giewont złoci mu kontury,
A księżyc mu załomy już srebrzy u góry,
Tak jak gdyby się łączył splatającym wieńcem
Rodzący się rumieniec z gasnącym rumieńcem.

Mówią, że on nie czuje podwójnej pieszczoty,
Obojętnym mu uścisk srebrny albo złoty;
A może Giewont od nas ma czucia zawilsze,
Odczuwa, ale drżeniem nie zdradzi, co milsze.

(Chopin, Prael. 7).

Na szczytach cisza śni
Uroki sennych dni,
A z góry płynie czar
Że sen najlepszy dar.
O, utul serce w sen,
Najlepszy ze snów ten:
Że kiedyś jak te sny
Rozpłyniesz się i ty!

Zakotłowało się w rzeczce:
To kozica chłepce;
Stoi góral przy dzieweczce
I szepce.

Szeptaj, szeptaj, młody gazdo
Gdzieś przy skalnej ścianie,
Będzie wiosną nowe gniazdo
Bocianie.

To jest cała twoja dola
To kochanie młode;
Przyjdzie głód na skalne pola,
W zagrodę.

Rola skalna, bezrozumna,
Zrosisz ją twym potem,
Będzie zimą nowa trumna
Pod płotem.

A nim jeleń ślad ku rzeczce
Po śniegu wydepce,
Stanie góral przy dzieweczce
I szepce...

Migawki.

Deszcz pada; chodź tu, książeczko —
Może ta chwilka
Ponad szumiącą w dal rzeczką
Da rymów kilka.

A z nich dowiedzą się ludzie,
Że gdy deszcz pada,
Zmokły poeta gdzieś w budzie
Wiersze układa.

Lecz przedewszystkiem potrzeba
Jemu do tego
Na zewnątrz choć skrawka nieba,
W sobie — całego.

Czasem się w życiu zdarza
Motyw, jak na obrazku:
Na przyźbie u stolarza
Bawią się dzieci w piasku.

Siły życiem nie starte,
Śmiechy, gwary, piosenki...
Za niemi, o drzwi wsparte
Stoi wieko trumienki!

Paniczu słodki,
Kup te szarotki,
Pęk taki świeży!
„A ile za nie?“
„Nie drogo, Panie,
Daj pięć halerzy!“

Zawsze ci sami!
Nadzieja mami,
Ufa i wierzy:
W dole, na szczycie
Naraża życie
Za pięć halerzy!

Nad cmentarza żywopłotem
W wózku uplecionym z trzciny
Leży postać szyta złotem
Śpiącej dzieciny.

Matka na grób idąc dziada,
Bierze z sobą lube dziecię,
I bezwiednie w jedno składa
Próchno i kwiecie.

Na grób złoży wieniec świeży,
Młodą darń obleje łzami,
I do wózka znów pobieży
Z pocałunkami.

Na drzewie śpiewał słowik,
A tuż pod drzewem
Spleśniały grzyb borowik
Wybuchał gniewem:

Ten śpiewak mię rozgniewał
Kwileniem takiem,
Jabym tak samo śpiewał —
Gdybym był ptakiem!

Hej wesele róży z ostem
Pod mostem!...
Zebrało się gości wiele,
Kapele:
Fletnią świerszcze, bąki basem
Nad lasem,
Jest i swatka, pośród stadka,
Dzierlatka.
A tam, gdzie najniższy dołek
Fijołek
Mówił: „Taki ślub, to zakał!“
I płakał.

Płynie potok, płynie,
Po kamykach spada,
Zdało się dziewczynie,
Że coś woda gada:
„Nie czekaj, aż minie,
„Otwórz serce wiośnie,
„Gdy zamkniesz, jak skrzynię —
„Serce mchem porośnie.“

Prąd po skale zgrzyta,
Kamień nurtem porze,
Dziewczę już nie pyta,
Co prąd mówić może:
„Zdradziłaś mię wodo,
„Odpłać ci to Boże,
„Iżeś mię tak młodo
„Wiodła na rozdroże!“

Oczy miała modre
Lecz z podkładem złota,
Choć w uśmiechy szczodre,
W gniewie albo żalu
Z pod błękitów miota
Jakby z pod opalu
Połyski metalu.

Zdradna to powieka
Choć pełna zachwytów,
Treść dążeń człowieka
Cała jej istota:
Bo do tych błękitów
Bierze cię ochota,
I do tego złota!

Pająk przysiadł się do róży,
Róża z dąsem listki mruży.
Motyl zdala gdzieś się błąka,
Nie śmie, boi się pająka.
Pająk wzdycha: „Spełnię wiernie,
Co rozkażesz!“ Filuternie
Róża listki swe rozchyla:
„Mój pająku, — puść motyla!“

Przy pełnym śmieci kuble
Cwierkają wróble,
A pod konarów tęczą
Słowiki jęczą.

I śpiewem i świergotem
Brzmią dalej drzewka,
Poco nam myśleć o tem...
To i to śpiewka!

Dwóch się chłopców borykało,
Jeden większy, drugi mniejszy;
Mnie tu wodzem być przystało,
Ty mię słuchaj, bom silniejszy.

Dobrze mówią: krew nie woda;
Rozum w kąt — gdy siły świeże,
Ludzkość jeszcze bardzo młoda
I krew dank nad głową bierze.

Więc na wielkie swe nieszczęście
Kodeks zasad wymyśliła:
Że przed głową idą pięście,
Że przed prawem idzie siła.

Z głowy wówczas zrobi sędzię,
Gdy na wybryk sił nie starczy,
Wtedy moralniejszą będzie....
Lecz to będzie — zanik starczy!

(Z góralskiej piosenki).

Powiał wietrzyk po hali
we wiosenny ranek,
Wziął mi z głowy kapelusz,
a dziewczynie wianek;
Dogonię ja mą zgubę,
choć się kula w lesie,
A dziewczyna wianeczka
nigdy nie podniesie.

Dziwny to naród ćmy nocne,
Bo przekonanie ma mocne
Płomieniem świecy olśniony,
Że on dla niego stworzony!“

Tak szydzi pająk z motyli,
A przecie w tej samej chwili,
Gdy mu kto muchę wspomina
Powie: to moja zwierzyna!

Zadumy.

Na szczycie stanął i z wyżyny
Swą stopą strącał, jak lawiny
Kamienie w ludzkie gdzieś doliny
Ahasver.

Pod siebie spojrzał — z urąganiem,
Nad siebie spojrzał — z zapytaniem,
Z wieczystem wiary rozłamaniem
Ahasver.

Od ognisk szedł, i od kądzieli,
U ludzi był, lecz nie widzieli,
Choć raz w każdego z nich się wcieli
Ahasver.

I dalej poszedł w mgliste rano,
I dalej szedł, jak powiedziano,
I pójdzie wiecznie, bo mu miano
Ahasver!

Gór niebotycznych najtajniejsza głębia
Ukrywa treść przewrotów:
Lawa zamarłych światów w niej się skłębia
W rdzeń bazaltowych młotów.

Nic więcej niema pod granitów żłobem,
W praświatów nic popiele,
Bo gdyby były cierpień ludzkich grobem
Byłyby wyższe wiele!

Klucz badań nad poczęciem
Pod gór tych leży murem:
Dobędę go zaklęciem!
Niestety, nie wiem którem...

Bo to jest me ubóstwo
Bezbrzeżne i odwieczne:
Że zaklęć umiem mnóstwo...
Lecz niewiem — gdzie skuteczne.

Nie było liści, szumiał las
Bo szumiał konarami,
Tak nieraz frazes pośród nas
Pozorem uczuć mami.
Biada, gby niema liścia pień
Pełnego woni, soków:
Powiędłych serca strzeż się drżeń,
Bezlistnych strzeż proroków!

Duszy, co w górach zaklęta
Rozumem nikt nie rozpęta,
Ale najmniejszy z nas snadnie
Sercem jej czary odgadnie.

Myśliwy w lesie śledzi zwierza tropy
Nie dbając o to jak piękne lazury,
Mędrzec wzrok badań zatopiwszy w chmury
Nie wie, co pięknie zakwita u stopy;
Młodzieniec liczko, co go wabi ślicznie,
Starzec li zysku pochłania kopalnie...
Ludzkość się szczyci że żyje normalnie,
Sama w przyrodzie żyjąc połowicznie.

Jaki tych gór jest skład
Znać dobrze, lepiej dociec
Jak łzą i potem brat
Z nich żyjąc musiał ociec.

Jeżeli kochasz brać
To jej tę prawdę poleć:
Że szczytnie jest współznać,
Lecz szczytniej — współboleć.

Skała ślizka, dostęp trudny,
Tłum hucułów, nędzny, brudny,
Łamie granit na gór stoku,
Dzień po dniu, i rok po roku,
I wciąż stacza go w wądoły
Za spleśniałych groszy płacę
Na kościoły,
Na pałace.
W dole ludzkie natchnienia
Z bezmyślnego kamienia
Już promienną myśl wykuły,
By w gotyckie piął się róże,
A gdzieś w górze
Mrą huculy!
Zejdźcie w chaty swe, w doliny,
Klepcie biedę, płódźcie syny,
Których losy znów poniosą
W góry głodno, chłodno, boso...
Bo od setek lat tysięcy,
Ludzkość nie zdobyła więcej:
Grosz i pot,
Wieczny splot!
Ten wykuje, tamten sprzeda:
Granit — złoto na skał czole,
A na dole
Granit — bieda.

Każdy kto musiał się w czasie narodzić
Jak Ikar skrzydła o przepaść kaleczy,
I nikt się dotąd nie umiał pogodzić
Z nieubłaganą biernością wszechrzeczy.

Wiatr z deszczem w okna świszcze
I mroźną tchnie zawieją,
A w sercu zimne zgliszcze
Już łona nie ogrzeją.

W życiowych burz tumanie
Gdy serce żarem płonie
Zachowaj na ogrzanie
Choć jedną iskrę w łonie.

Choć w życia już jesieni
Nie bądź jak zwiędły liść:
Do wiecznych trzeba cieni
Nie zwianym być, — lecz iść!

I cierpienia i rozkosze
Równie chętnie w życiu znoszę:
Te, że mię darzą natchnieniem świeżem,
A tamte — że są probierzem.

Dzisiaj każdy już wie o tem
Chociaż ojców chodzi śladem:
Nadmiar uczuć jest blekotem,
Ale nadmiar wiedzy — jadem.

Ludzkość żądna wszelkich szałow
Nie przekroczy danej miedzy:
Wytrzeźwieje z ideałów,
Ale umrze z samowiedzy.

Granitów się kobierce w takie wiążą cienie,
I w takich się rysunków wzorują kontury
Jako na naszych łąkach jaskry i złocienie,
Ale gdy tam uroki marzącej natury —
Tu groza rozłamana na drobne kamienie.
Bo urok wespół z grozą sen życia układa,
To są cienie i światła na jednym obrazie!
Gdy hasłem ludzkich istnień „evoe“ i „biada!“
Pląsaj po niw kobiercu — a klękaj na głazie.

Grań gór na niebios tle tak się układa,
Jak w skalnych głoskach rzeźbione wyrazy
A ta kronika światu opowiada:
Gdzie ludzie milczą — będą mówić głazy!

Mówić i świadczyć swych szczytów rzeźbieniem
O wielkiej chwale po kamiennym trudzie,
Że niespożytość nie czczem urojeniem,
Bo głazy mówią — kiedy milczą ludzie...

I kłam zadają tym, co dumnie myślą,
Że stalną pięścią pasmo dziejów przędą,
I „mane tekel!“ na błękicie kreślą...
Gdy ludzie milczą — głazy mówić będą.

Odczuwaj, oto mądrość cała,
Jedyna, która nie uśmierca:
Nie jedna myśl pogodna, biała
Zrodziła się z popędu serca.

Nie jedną myśl ponurą, czarną
Wypiastowały mózgu męty,
Bo ludzka mądrość zawsze marną,
A tylko wynik uczuć — święty.

Dokoła brudu lśnią kałuże
Że niewiesz kędy stąpić nogą,
I chciałbyś wzbić się hen, ku górze
Lecz skrzydła unieść cię nie mogą.

Bo byłeś uposażon skrzydłem
Ot takiem, jakiem motyl wzlata,
A tyś obciążył je mamidłem,
Co się mądrością zowie świata.

I umiesz,.... umiesz bardzo wiele!
Wchłonąłeś w siebie nauk krocie,
Lecz bez nich mógłbyś wzlatać śmiele,
A z niemi — musisz brodzić w błocie!

Świat cały formą jest natchnionej myśli:
A wszyscy mędrce, którzy badać wyszli,
Skuci w formułki swej badawczej normy
Nic nie widzieli prócz zewnętrznej formy.

A przecież wyrok, wyraz po wyrazie
Widnieje zewsząd, mchem pisany w głazie
I rosą szyty nad łącznym kobiercem:
Atomy myślą śledź — a spajaj sercem!

Wiecznie więc mimo bezsilnych wyrzekań
Do błędu wiedzie manowiec dociekań
Bo mądrość cała dźwięczy w jednej nucie:
Monstrancyą wiedza — hostyą uczucie.

O mozołów rozstroje,
Że masz w sobie sił dwoje,
Każda ciągnie na swoje!
Od eonów tysiąca
Bieży rzesza łaknąca
Gdzie dolina kwitnąca,
I powraca niebawem
Nieuniknionem prawem
Swej podwójnej istności,
Gwoli ducha potrzebie
Gdzieś na wirchów podniebie,
Byle na wysokości!
Idą wciąż ludzkie syny
Wiecznem prawem natury
Po chleb ciała w doliny,
Po chleb dla ducha — w góry.
O rozstroju mozoły,
Żeś zwierzęciem na poły
A na poły z anioły!

Choć i odemnie śmierć brała haracze
Ja się na dolę uskarżać nie mogę
Bo od chłopięcia ciągle w życiu znaczę
Jasną, pieśniami nabijaną drogę,
I łzę, co łatwo nad niedolą płacze,
Swobodną głowę i swobodną nogę,
I to, co sprawia że życie nie mętne:
Serce ku pięknu i ku prawdzie chętne.

Kto z nas ma prawo przeznaczenia łaski?
Z całemi światy igra nieprzerwanie:
Te, które wczora roztaczały blaski
Dziś się już może staczają w otchłanie,
I jęk wydając, skier gasnących trzaski
Tam upadają zkąd nic niepowstanie,
Gdzie zmarłym światom grób się ukrawędził:
Któż z nas ma prawo by go los oszczędził?

Niech każdy daje, czem chata bogata:
Czyli praeludya, czy diapsalmata,
Jakby je zwano w ateńskiej agorze,
Niech każdy daje co ma, i co może.
Bo każdy zlepek snów, rojeń, omamień
To tylko prosty do mozajki kamień,
A duch narodu, gdy siądzie do wzoru
Nietylko podług błysku i koloru,
Lecz podług rdzenia i wartości głazu
Będzie dobierał kamyki obrazu.
Czasem najmniejszy przyda się gdzieś z boku,
Aby wrażenie cienia podał oku,
Przyda się oknem na więzienną celkę,
Może wyrazić łzę, lub krwi kropelkę...
Bo to już nie jest staranie niczyje
Jak duch narodu kamyka użyje.
Ów zachwalony pójdzie w kupę śmieci,
Ów wyszydzony — w obrazie zaświeci.
Nie nam to wątek próżnych zasług snować;
Nam głazy znosić, bolem je szlifować,
A gdy duch kamień jaki w obraz złoży
Nie ten, co przyniósł cześć ma, — ten, co tworzy!





Sonety.

Oszczędnie mów:
Zwyczajnie mieści
Bogactwo słów
Ubóstwo treści.

PRZEDSONET.

Pytasz, dlaczego piszę sonety
W tak niesposobnym do rymów czasie,
Gdy pokup mają dziś na Parnasie
Tylko „disjecta membra" poety?

A jednak nie brak sercu podniety
Roztęczyć myśli w rymowej krasie,
Choć może w jednej jedynej da się
Duszy rozmróżyć nastrój — na wety!

I więcej powiem: ja sobie chwalę,
Że do tej wzniosłej komunii ducha
Ludzkość się tłumna nie tłoczy wcale;

Gdy wszędzie ciżba na dźwięki głucha,
Słowik rozperla swe słodkie żale,
Póki go jeden — Jagiełło — słucha!

DUSZA GÓR.

Dziwne mię tu zachcianki i nęcą i kuszą:
Gdy kroczę między turnie, gdzie olbrzymy rosną
Chciałbym z tęsknotą pełną lęku, a radosną
Oko w oko się spotkać z gór tajemną duszą.

One się pierwsze śniegiem jesiennym przyprószą,
One najpóźniej trawą zaruniają z wiosną,
Wolno, lecz stale tkają swe wzorzyste krosno,
Nie ruszając się z posad, każdego z nich ruszą.

I czuję, że ta dusza gór, jak dusza ludu:
Najprędzej się zamrozi, najpóźniej zaruni,
Pod wzorzystą tkaniną siermięgi, czy guni,

Wiecznie jedna, do słoty przywykła i trudu,
Spokojna, choć się jutro może rozpioruni,
A sama będąc cudem — wciąż wygląda cudu.

ODRODZENIE.

Strasznie tu błogo wśród nagich turni;
I czujesz, że tym chodzili szlakiem
Ci, którzy życie przebiegli ptakiem:
Ci myślą lotni, ci sercem górni.

My dziś chodzimy posępni, chmurni,
Sądząc, że góry cudownym znakiem
Serca obsieją upojeń makiem,
I szare życie się rozkoturni.

O nie, nam góry dusz nie obsieją!
Z odrodzeń nam się rozstać nadzieją:
Myśli, jak orły, tylko się chwieją

Nad głową, która nigdy nie zbladła
W toń życiowego patrząc zwierciadła,
I jest największą wtedy, gdy padła!

GIEWONT POD ŚNIEGIEM.

Jako biały paw ogon roztacza nad ranem
Pierwsze słońca promienie chłonąc w jego białość,
Tak Giewont całą swoją śnieżną okazałość
W pawi ogon rozpostarł w krąg nad Zakopanem.

A w tem pallium, słoneczną nicią lamowanem,
Ponad do stóp przypadłą kornych szczytów małość
Taką roztacza iście królewską zuchwałość,
Jakby się wiernej rzeszy czuł Mistrzem i Panem.

I jak śród nabożeństwa w mitrze wznosi głowę
Ponad niższe, pokornie szarzejące szczyty,
Arcykapłan, przybrany w kapy złotogłowe,

W obłoki, jak w kadzielnic dym cały spowity,
Ponad rzesze lewitów, przyklękłe i płowe,
Przyodziane w smereków zrudziałe habity.

WSCHÓD SŁOŃCA.

Jakieś się nabożeństwo w górach uroczyste
Gotuje, szmery biegną ciche poprzez wrzosy,
Jodła z mgły nocnej czesze rozplecione kosy
I wyłania wierzchołek nad opary mgliste.

Noc pierzcha, świtu błyski pełzają faliste
Po szczytach, uciszając nocnych świerszczów głosy,
Mchy i trawy się myją w szklanych kroplach rosy,
By do chramu przyrody wejść świątecznie czyste.

Cud się zbliża: zwiastują go promienne gońce,
Giewont zarzucił śnieżny welon na ramiona
I złocistą monstrancyę ujął w jego końce,

I zwraca się do ludu, tuląc ją do łona;
Z monstrancyi błyska hostya ognista, czerwona:
Słowo stało się ciałem, ave, ave, — słońce!

JELEŃ.

Wybiegł jeleń nad potok, w dół staczając piargi
I zatrzymał się — własnym spłoszony szelestem
Z takim pełnym swobody i nasłuchu giestem,
Że mi się do uśmiechu ułożyły wargi.

Nie trwóż się, choć człowiekiem, mordercą nie jestem,
I pragnę, by się nasze skończyły zatargi,
Byście mogły poniechać uprawnionej skargi,
Że człek do siebie zbliża tylko krwawym chrzestem.

My się od was, ach tyle możemy nauczyć:
Jak wielką jest rozkoszą wolność oddychania,
Jak życie trzeba zluźnić, miasto je objuczyć,

Jak kosztowną niewola, jak swoboda tania,
Jak lepszem jest współżycie od współpanowania,
I jak się co dnia karmić, — nie koniecznie tuczyć.

CZŁOWIEK A GÓRY.

Stał chmurny Giewont, a pod Giewontem
Regle kapryśnym konturem biegły,
Jak gdyby na to tylko tu legły,
By być zaplątań wszelkich rozplątem.

Człowiek, w tworzeniu systemów biegły,
Gdy życie ujął pod prostym kątem,
Zżyma się na nie, że wiecznie są tem,
Czem są, nie kształtnym kwadratem z cegły.

Bo człowiek cały wszechświat ryczałtem,
Co rzeczywiste i co pozorne,
W kwadratów formy zakował gwałtem

Pośród nich wiodąc życie niesforne,
A one, wiecznie niesforne kształtem,
A przecież prawom wieczystym — korne!

W GÓRY!

Niema dziś życia w piękności i sile:
Niebios nie tęskni nikt, ma dosyć skrawka,
Jak błyskawiczna jest życie migawka,
Co ująć umie tylko jedną chwilę.

Gdy życie kona w szarości i pyle,
A nie jest jako błękitna zabawka,
Pogrzebnych marszów łkająca przygrawka
W takt nas rozpaczy wiedzie ku mogile.

W góry nam, w góry, tam są chorób leki;
Gdzie szczyty w błękit ciemię wznoszą hardo,
Głową nadchmurnie, a stopami twardo,

Tam patrzyć, jako czy słota, czy spieki
Stać, tak przez dobę, jak przez długie wieki,
Na grom, czy słońce z jednaką pogardą.

GROBOWIEC.

Połyska w słońcu górski grób Chałubińskiego,
A nad nim rozmodlona góralska niewiasta,
Tym pacierzem grób cichy nad inne wyrasta:
Modlić się za nim — jest to modlić się do niego.

Kto złoto życia w drobnej monecie rozszasta
Niech stąd odejdzie, odczuć nie jest rzeczą jego
Ile w grobie pierwiastku jest nieśmiertelnego,
Gdy to grób króla-ducha i serc ludzkich właśta.

Nad głazem się kołysze gałązka jaśminu
Szepcąc: ten kto po śmierci odżył w piersi gminu
Zapłodnił wieki, a więc spocznij, wierny synu.

Lecz duch się na życzenie spokoju obraża,
I woła go z grobowca, jak Chrystus Łazarza:
Niechaj nigdy nie spocznie, a wciąż się odtwarza.

LUDZKIE CELE.

I.

Góry się dziwią, gdy dzwony na jutrznie
Grają, dlaczego ludzie tak misternie
Wpijają stopy swe w przydrożne ciernie,
Gdy wszystko prostem, oni żyją sztucznie?

Wszak oni, jako wszelki twór, mizernie
Albo swój żywot przestękają jucznie,
Albo zalegną obory i tucznie,
Prawo natury wypełniając wiernie.

Więc poco stwarzać duchową legendę,
Poco w przyrodzie mieć siebie za tuza,
Poco dla wrażeń deptać skalną grzędę,

I po urwiskach próżno szukać guza,
I poco mówić: byłem, więc i będę...
Gdy pod płot pójdą, albo do szlachtuza?

II.

Poco? o góry, ja wam powiem poco!
Człek wie, przyrody praw że nie przełamie;
Dla jutra żyjąc on sobie nie kłamie,
Bo wie, gdy gwiazdy rozelśnią się nocą,

Że ku tej złotem nabijanej bramie
Iść, to żyć wiecznie; gdy skroń mu ozłocą
Co mu wzbronionem — on bierze przemocą,
A że nie może śmierci zgiąć — więc łamie!

I sieje ziarno z łona swego plonów
I mrze, lecz ziarno biorą siewce prości,
I znow je sieją do końca eonów,

I znów rozwija się i w sercach gości,
Zniszczenia nigdy nie bacząc ni zgonów;
Tak człowiek idzie — do nieśmiertelności!

ZABARWIENIA.

Chata, nad chatą dym modry spowity.
Nad nim majaczy zamglony szczyt góry.
Nad górą szare przeciągają chmury,
A nad chmurami jaśnieją błękity.

Obraz się piętrzy taki jednolity,
W tonie zabarwień błękitno ponury,
Jak gdyby wielki arcymistrz natury
Dzierzgał błękitem pas na krosnach lity.

Zanim się obraz fantastyczny zetrze
Lubo jest patrzeć na tę krosien ramę,
Na której barwy przebiegają gamę,

I dumać: tak uczucia, jak powietrze
W tonie jednakie, przecież nie te same:
Im wyżej w górę, cieńsze, — lecz i rzedsze.

AVATAR.

Tu się kochali, i tu się zabili...
Rzekł góral, krzyżyk wskazując wśród głazów.
Bezwiednie zawarł w tej garstce wyrazów
Wieczności dzieje w dziejach jednej chwili.

A myśl stropiona daremnie się sili
W tym labiryncie szukać drogoskazów,
Że miłość, nakształt wampirowych płazów,
Na to nas wskrzesza, że potem zmogili!

W Helladzie życia siewała podniety,
A dziś nam śmiercią i zniszczeniem pała;
Dwa piękne dawniej zlewały się ciała,

Dwa wstrętne dziś się splatają szkielety:
W rozwoju ludzkość przemodelowała
W krzyż nadmogilny — ramiona kobiety!

ZANIK WIARY.

Małe mię dziewczę w górach uczyło:
Wy to mniej wiecie, niż ludzie prości,
Bo oni się już uczą z małości,
Jakto tu kiedyś w tych górach było.

Czy dziś inaczej? — Dziś się zmieniło,
Dziś już duch czarny w górach nie gości,
I ogień zagasł już w głębokości.
Czemu? — Bo nam się wierzyć sprzykrzyło!

Wierzyć sprzykrzyło! czy umiesz zdzierżyć,
Jaka w tych słowach lawa się kłębi,
Jej żaru głoska praw nie wyziębi,

I jaki wulkan musi uderzyć
Gdzieś z najtajniejszej duchowej głębi,
Gdy się ludowi — uprzykrzy wierzyć!

SONETY ARABESKI.

I.

Nie chowaj ducha pod cebrem
Ni myśl niech się nie opłoci
Ani pod słońcem, co złoci,
Ni pod księżyca srebrem.

Bo kto ma serce pod żebrem
Chętnie je całe rozgrzmoci,
Nie uśpi w łzawej wilgoci,
Jak dziad o kiju za żebrem.

Jak liczysz dzień na godziny,
Godziny znów na minuty,
Tak moment szczęścia jedyny

Na biciach serca osnuty,
A wszystkie chcenia i czyny
To tylko takty tej nuty.

II.

Kiedy się w głowie myśl rozproporczy
I z biciem serca miłośnie złączy,
Duch się wyrywa tak lotny, rączy,
Jakby bohater jaki zaborczy.

Lecz jeśli jej się serce nastorczy
I myśli w nowy płód nie rozpączy,
Duch swoje siły jak krew wysączy
I nie powstanie czyn cudotworczy.

Czy życie zluźniem czyli je zgęściem,
Na ból lekarstwem będzie jedynem:
Że tylko serca z myślą zamęściem

Można się pięknym pochlubić synem,
Co gdy jest czynem — to się zwie szczęściem,
A gdy jest szczęściem — to się zwie czynem.

PROBIERZ.

Stoję na śnieżnej gór kończynie
A wiek mi śronem skroń gołębi...
Czyż nas jednaka starość gnębi?
Nie, wolę moją w tej godzinie:

Z szczytów siwizna z wiosną spłynie,
Lecz wewnątrz zastój wiecznie ziębi, —
W mojem się łonie lawa kłębi,
Choć śnieg na włosach nie przeminie.

Nie badam jakie są powody
Gór przedwiekowych ewolucyi,
Bo tylko jedno czuję żywo:

Póki jest siejba, — póty żniwo;
Kto ma poczucie rewolucyi,
Ten, chociaż siwy — przecież młody!

SONETY ERINIJE.

I.

W Byzancyum jestem: na tle złotem
Purpurowego nieboskłonu
Na tronie Giewont, u stóp tronu
Błękitne szczyty drżą pokotem.

W Byzancyum jestem, świadczą o tem
Złociste skały, w kształt szablonu
Skamieniałego zabobonu
Piętrzące się swych kopuł splotem.

A gdy ku ludziom zwrócę oczy
Znów byzantyńska mi się właśnie
Arena cyrku w krąg roztoczy:

O czapki spór, o barwy waśnie,
I płochy czyn z tragicznym giestem,
I zgon za szych, — w Byzancyum jestem!

II.

Gwałtowna nowych wrażeń żądza
Potrząsa nami jako czapką
Błazeńską, lub na muchy klapką:
Dziś nikt nie sądzi, — lecz przesądza.

Wciąż nowe tłumy przez wrzeciądza
Dogmatów idą, jak pułapką,
Nie biorą się już czapką, papką
Jak ongi, lecz na śniedź mosiądza!

Wam Tatry dziś nas padło bronić:
Nauczcie nas plon życia zbierać,
Jak się odradzać — nie umierać,

Przetwarzać, — nie kameleonić,
I jak odnaleść wolni, górni
Znów polską myśl śród polskich turni!

III.

Gdzie mętna woda, mętny połów
I tylko płotka skacze w sieci:
Niejasny naszych plon stuleci
Niejasnych miewa apostołów.

Każdy niewłasnym ogniem świeci,
Chce w górę wieść — a pcha do dołów,
Chce wzlatać, — lecz ma w skrzydle ołów,
Chce tworzyć — a zaledwie kleci.

Może być jasnem, co głębokiem,
Lecz musi kryształ mieć, nie zamęt:
Gdy schylisz się nad Morskiem Okiem

I dno zobaczysz — i firmament,
Bo nie szarada jest prorokiem,
Ani jest genialnością — lament!

IV.

O, ten firmament pod odmętem
Niech będzie życia nam programem,
Prorokiem, wodzem i imamem,
Dogmatem, przykazaniem świętem.

I duchem miej, co zeń poczętem,
Całością idź, a nie odłamem,
Miej błękit w duszy, a tem samem
Dno życia oszklij firmamentem.

W tatrzańskich jezior masz odbiciu
Gdzie ducha zdobycz a gdzie szkody,
Jakimi szlaki iść w rozbiciu,

Że nie przez męty — do swobody,
I wyrok czytaj na dnie wody,
Żeś dotąd życiem — kłamał życiu.

V.

Drżeliśmy tak o Morskie Oko
Jak dziecię drży o nowe cacko,
Wygrażaliśmy tak junacko,
Deklamowali tak wysoko!

Dziś ono nasze, więc posoką
Pracy zapewne chcemy chwacko
W oprawę ująć perłę lacką,
Bez której życie nam opoką?

Nie, wszystko wraca w dawne tory;
Bo niezłamane stare winy
„Gdzie nie trwa myśl ani godziny“,

I gdzie bożyszczem są pozory...
A głos szyderczy brzmi po Wantę:
Tragediante, comediante!

VI.

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie;
Ironia gorzka, albo sarkazm nagi,
Bo dzisiaj wyznać dość mamy odwagi
Że słowa wieszcza — to naigrawanie!

Gdy nas smagają najostrzejsze plagi,
Gdy śmierć nas nawet wielka wziąść się wzbrania,
Śród bezsilnego powtarzamy łkania:
Wszystko nam dałeś — oprócz równowagi.

Ten, kto sam siebie położy na szali,
A drugą szalę ojczyzną obciąży,
To ją utopi w zapomnienia fali

I na niewolę sromotną pogrąży,
A sam w powietrzu zawiśnie w oddali
Jako liść zwiany, nie wiedząc gdzie dąży!

GWIAZDY SPADAJĄCE.

Okwitających światów szyte światłem liście
Jasnym smugiem w urwiska spadają ze szczytów.
Snać im potrzeba wielkich cmentarzy z granitów,
By swe całopalenie spełnić uroczyście.

A może tam utworzą biblię kryptorytów,
Która znów ponad światem zabłyśnie ogniście,
Gdy duch, żyw wiecznie, w nowych przewrotów poświście
Pocznie kopać odwieczne kurhany prabytów.

Bo ład wszędzie znikomy, wieczne tylko błędy;
Więc wiecznym duch, błądzący wśród wszechświatów
[grzędy,
Wszystko ginie, on tylko na chwilę się zmąca:

Tonie gdzieś pośród urwisk gwiazda spadająca,
Kataklizm, co je stworzył, urwiska roztrąca,
A ty, strudzone słońce, kędy spoczniesz, kędy?

KSIĘŻYC NAD MORSKIEM OKIEM.

Księżyc dziwnie kapryśnie przepełza przez Rysy:
Czasem jak świętojański robaczek w przezroczy,
Czasem wyżej pełniejszym kręgiem się roztoczy,
Jak Dionysos w górach ciągnon przez tygrysy.

To rozszerza, to znowu zwęża swe zarysy,
To się rozjaśni, to znów nagle zaobłoczy,
Aż nareszcie wypłynął, i jako dwa oczy
Umieścił się patrzący w obu stawów misy.

Czarny Staw, Morskie Oko, zbłękitniałe białka
Srebrnych pupil, śród śnieżne powiek lśnią opłatki,
Nad niemi z kosodrzewia brwi zmarszczonych łuki:

Takich oczu nie muśnie myśl płocha ni miałka,
Tak duch ziemi dośledza tajni wszech nauki
I patrzy pytający w twarz wielkiej zagadki.

GIERŁACH.

Nie będę cię o łaskę, o Gierłachu, wołać,
Choć się nademną szczyt twój tak wyniośle spiętrza
Jakby zmiażdżyć mię była chęć twa najgorętsza,
Jakby ci sługą była cała świata połać.

Czuć się wielkim, to wszystkich istnień chęć najprędsza;
Lecz stopa ludzka umie twym kręgom podołać,
A prosty górnik może kilofem wywołać
Jęk skargi z najtajniejszej głębi twego wnętrza.

Choć wysoko swą głowę wynosisz na niebie
Niosąc wyraz monarcha na dumnem ciemieniu,
Ja znałem więcej takich w życiowej potrzebie,

Co do największych w całem kładli się plemieniu,
Bo nie mieli w najbliższem swojem otoczeniu
Miary do porównania — z większymi od siebie.

WIEDZA.

Przebiły niebo nasze teleskopy
I przewierciły pierścienie Saturna,
Tak dzisiaj znane nam jak chata kurna
Najodleglejszych planet mgliste stropy.

Zna ropę nafty, nie ran ludzkich ropy,
Zna chmury, nie jak ludzka dola chmurna
Ten, kto z wyżyny mądrości koturna
Oblicza elips kosmiczne galopy.

Nie! taka wiedza — to wiedzy podsienie;
Gdy się w bezbrzeżne zapuszcza ogromy
Nie wie co cierpień kryją ludzkie domy,

Jak ludzie żyją, — i po jakiej cenie:
Wiedząc dokładnie, co kamieniołomy
Nigdy nie pyta, — co łamać kamienie!

MNICH.

Promienie słońca liżą stopy ciemne
Mnicha, choć w kaptur z chmur oblekł swe ciemię,
Snać że i słońce tak jak ludzkie plemię
Lubi się korzyć przed tem, co tajemne.

Lecz słońce musi zwyciężyć; daremne
Wysiłki cieniów, by w noc zasnuć ziemię,
Słońce zwycięży! czyż w tem symbol drzemie,
Że zwyciężymy i my, płazy ziemne?

O nie! zagadek wciąż czar tajemniczy
Nie da ludzkości stanąć w równowadze;
Więc idzie w ciemność kiedy światła życzy,

I zawsze ten ją utrzyma na smyczy,
Kto od niebiosów tajemnic pożyczy:
Zagadki wszędzie zapewniają władzę.

ANANKE.

Dokąd idą owadów dźwięczące miriady,
Które głód wraz z miłością wodził w życia wątku?
Legły kędyś w rozpadlin najcichszym zakątku,
Zmilkło brzęczenie, znikły nawet ciał ich ślady.

A przecież słuchaj, żyją, w wiecznej żądzy wrzątku;
Bo gdy nad zcichłe szczyty wejdzie księżyc blady
Owoc ich kochań, nowe zgłodniałe gromady
Na ich koniec nawiązać dążą nić początku.

I znowu głód i miłość drżą przez całą dobę
Mając tylko chwilową swych potrzeb świadomość,
Żądne życia, o przodków niedbałe żałobę,

By po chwili w wszechciszy zasunąć się cienie:
Jedna jest sprawiedliwość, jest nią zapomnienie!
I jedna jest wieczystość — a jest nią znikomość!

GODY.

Eros i Psyche, czemuż ich myśl świecka
Stawia u życia powszedniego kielni?
To nie murarze, to goście weselni,
Nie im śnić marny żywot u zapiecka.

Odkąd zrodziła ich myśl jasna, grecka,
Ster naszych dążeń dzierżą niepodzielni,
I wciąż na nowo ich unieśmiertelni
Wszelaki młodzian wzrastający z dziecka.

I nie do pracy oni, lecz na gody,
Na gody w wdzięcznej dla bóstwa podzięce,
W których za drzwiami stoi trud wraz z troską;

Niema na ziemi szczęścia krom swobody:
Bo plony trudów są zawsze zwierzęce,
A tylko rozkosz ludzkości jest boską.

KARŁY.

Wobec spokojnych olbrzymów przyrody
Dziwnie nerwowe wyglądają karły,
Co chwilę żyją dziś, a jutro zmarły,
W chwilowym bolu — a bez trwałej szkody.

Jak człowiekowi ból gorący, młody
Dopóki walki życia sił nie starły
Układa kształty, co mu żywot wsparły,
Poloty w szczyty, w przepaście zawody,

Tak górom niegdyś wulkan piersi orał,
I nim zastygły w swe dzisiejsze turnie
Śpiewały światu ginącemu chorał...

Tak i my z młodu żyjem lawą górnie,
Świat przewracamy wielkich czynów siłą,
Aby nad ziemię wyrosnąć — mogiłą!

MĄDROŚĆ.

Setki wieków lat sterczy góra niewzruszona,
Ty po kilku dziesiątkach lat padasz w popiele;
Co jest wobec wieczności mało albo wiele?
Żyłeś w wichrów poświście — więc żyłeś jak ona!

Czy się lawa wulkanów tli w skale czerwona,
Czy namiętność w twem łonie swą tęczę rozściele,
Tobie jako i skale los jeden w podziele:
To co się pali — żyje, co spaliło — kona.

Nie żałuj błyskawicy, że tak krótko trwała,
Bo ona rozświeciła przestwór w okamgnieniu;
Stój, jakbyś dziś miał upaść, lecz stój jako skała,

Bądź błyskawicznym w żądzy, a trwałym w pragnieniu,
Kochaj wieczność w znikomem pławiąc się marzeniu:
Jak, ale nie jak długo, — oto mądrość cała!

TRYUMF ŻYCIA.

Wątła brzezina wzrosła w granicie
I rozsadziła skalne podłoże:
Tak, jeśli zechce, zwyciężyć może
Odwieczne głazy — znikome życie.

Ziarnko, zasute w ziemi spowicie
Olbrzymom skalne wnętrzności porze,
Tam wszechmoc, gdzie dwa pierwiastki boże
Ziarno i ziemia łączą się skrycie.

Cóż, że ta brzoza padnie i zgnije,
Że innych istnień nowa nawała
Jej rdzeń rozkruszy, jej ślad pokryje,

Tego nie zmienią siły niczyje:
Po wątłej brzozie, co tu wzrastała
Zostanie wiecznie — pęknięta skała!

PAX.

Walki z przyrodą — to walki święte,
Walka z człowiekiem — to rzecz bezbożna:
Przyrodzie wydrzeć tajniki można,
I skarby w łonie skalnem zaklęte.

Jeśli cię nęci trawa przydrożna,
Lub mchy, w spowiciu głazów ujęte,
Może w nich siły leżą poczęte,
Które twa wiedza wskrzesi wielmożna.

Lecz człowiek tylko za życia cenny;
Nie godź weń grotem, który uśmierca,
Bo z nim pierwiastek ginie promienny,

Który przebiega z serca do serca.
Przyroda wiecznych odtwarzań tkaczem,
Lecz piersi ludzkiej nie wskrzesisz płaczem.

SEN.

W górach sen miałem, co mię rozpogodnia:
Z Tatry dorodny zstępował młodzieniec;
Wzrok krasił zapał, czoło snów rumieniec,
W lewicy tarcza, w prawicy pochodnia.

Choć młody, w oczach wciąż mi się odmłodnia;
Na przepaść oka nie miał, zapaleniec,
A tylko, wiecznych ułud potępieniec
W górę je wlepiał, gdzie gwiazda przewodnia.

I wnet poznałem kto on: ta gromnica
Na wschód wzniesiona niesie wiary zaród,
Że zawsze zbawia ten, który oświeca;

A tarczą z lewej osłonięty cały
Snać wie, zkąd grożą mu zatrute strzały...
I wnet poznałem kto on: to mój naród!

BÓL TWORZENIA.

Naprzemian śmiech, naprzemian bole
Snuć będę z piersi, jak z narzędzia,
Co pod palcami się rozgędzia
A bruzdę orze mi na czole.

Roztkliwia pieśń, czy rozkolendzia
W jednakim rodzi się mozole,
Co łechce tłum, to twórcę kole,
I wieczną prawdą baśń łabędzia.

Bo z dawna bywa tak na świecie
I będzie pono do ostatka:
Nikogo obcy ból nie gniecie;

Czyż muśnie kogo myśl niegładka
Kiedy podziwia piękne dziecię,
Że w bolu je rodziła matka?

EXUL.

Że od natury wciąż odbiega
Ponad nią stając lub zdaleka,
Ciężko ukarał los człowieka,
Dając mu tylko miejsce — zbiega.

Wszystko harmonią się rozlega,
Wszystko się splata, pory czeka,
On sam wyłączon, i od wieka
Sam sobie alfa i omega.

Nie czeka pory, rwie się luzem,
Nie splata się, lecz się zaplata,
Dlatego wiecznie jest intruzem,

Gdy dwóch ich śpiewa, — kakofonia!
A w chórze różnych ptaków świata
Jakaż przedziwna jest harmonia.

MŁODZI A STARZY.

Uprzątnąć stare rumowiska
Chociaż natchnieniem lśnią wspaniałem,
Dać unieść się zniszczenia szałem,
To myśl, co w młodej głowie błyska.

Otoczyć plon ochronnym wałem,
Mieć cześć dla rzeczy i nazwiska,
Utrzymać formę, chociaż niska,
To starych serc jest ideałem.

Co lepszem? Ktoż z nas to osądzi!
Przewracał światy oddech boży
I znowu nowe dźwigał z zgliszczy;

Duch wiecznie żyjąc, wiecznie błądzi:
Myśl najszczytniejsza — kiedy niszczy,
Lecz najpiękniejsza — kiedy tworzy.

ZMIERZCH W DUSZY.

Zwietrzałych snów, dziecięcych skazek
Motyw się nikły w myśli błąka
I pachnie, jak skoszona łąka,
Jak zblakły w słońcu lśni obrazek.

Kroplą z pękniętych starych wazek
W sieć omotanych przez pająka
Coraz mi głębiej w serce wsiąka
Ten nowych tęsknic wynalazek.

W przyrodzie zmierzch i w ludzkiem łonie
Jak przędza w dłoni drży Arachnie:
I w duszy zmrok i na zagonie,

A choć się nagle światło żachnie,
Przeszłością zatli i zapachnie,
To zamigota, — i utonie!

CUPIO DISSOLVI.

Jutro się już nie zbudzę, choć wszystko się zbudzi
I świat pójdzie tak samo w te same koleje,
Słońce tak samo serca otuchą rozgrzeje,
I księżyc je tak samo tęsknotą rozłudzi.

I tak samo się błotem skrzydło ptaka zbrudzi,
I tak samo się kąkol po myślach rozsieje,
A ponad wszystkiem, jako słońce, rozednieje
Wiara wiecznego życia, — wieczna troska ludzi.

O nie, ja się daremną tęsknotą nie łudzę,
I tak cicho odejdę jak ci, co iść pragną;
Czy z grobu garstką roli plennej się rozgrudzę,

Czy dębem w górach, trzciną zaszumię nad bagno,
Czy się do mię, do kwiatu, świeże usta nagną...
Jutro wszystko się zbudzi, — ja się już nie zbudzę!

